

Na imprezę na zamku wybierała się szlachta z całego Pomorza. Rycerze zza siedmiu gór i rzek nadjeżdżali w swych wypolerowanych, metalicznych karocach ciągniętych przez setki mechanicznych koni.

Agnieszka - moja dziewczyna - nigdy nie przepadała za muzyką techno, ale za to uwielbiała zamki. Chyba tylko dlatego udało mi się ją namówić.

Była prawie gotowa. Wyglądała diabelnie bosko - cała na czarno. Czarne paznokcie, jakby zmiażdżone drzwiami, ciemne cienie pod oczami i usta na ciemno - zupełnie jakby dostała niedawno porządne lanie.

- Co się tak gapisz?

- Dobrze wyglądasz.

Tylko z włosami nie wiedziała, co zrobić. Ciągle coś poprawiała. Na jej dłoniach połyskiwały ciężkie pierścienie. Było ich więcej niż palców, a każdy o jakimś magicznym znaczeniu i mocy. Na szyi wisiorki równie czarodziejskie - pentagramy, wahadła, oczy Horusa i krzyże różnych rodzajów, z wykluczeniem chrześcijańskiego. Na ten akurat miała alergię.

Generalnie wyglądała elegancko i bardzo modnie, obawiałem się jednak, że po grzybach mogę się przestraszyć tej elegancji i mody. To dziwne narkotyki. Nie sposób ich rozgryźć do końca. Czasem robią z ciebie bohatera, tak że nie boisz się niczego i nawet ze śmiercią za pan brat, a czasem, jak smerf - chowasz się przed Gargamelem, jakby potrafił wyskoczyć z telewizora. Ale czy nie potrafi? Po grzybach wszystko jest możliwe. Wie o tym każdy, kto próbował.

Ja już wcześniej, bo od czwartku mówiłem, że to nie najlepszy pomysł - jedzenie "halucypków" na tego typu imprezie. Rex - Magdy chłopak - wiedział jednak lepiej. Uparł się: "Albo grzyby albo... nie jadę. I chuj." Tylko laskom nieco odpuścił; mogły zjeść piguły. On był kierowcą, jego autem jechaliśmy, on ryzykował najbardziej... Zgodziliśmy w końcu na te szalone warunki.

Kiedy już w drodze poprosił mnie żebym otworzył schowek i wyszukał płytę Chemical Brothers, odkryłem, że sprawa może być jeszcze poważniejsza niż przypuszczałem. Oczy mało nie wyskoczyły mi z orbit! Cała galaktyka przymulaczy i rozśmieszaczy! Mieliśmy dwie torby trawy, 50 tabletek extasy, 5 znaczków LSD, 200 zasuszonych grzybków, pół solniczki kokainy. W bagażniku był ponoć litr Tequili, litr rumu i skrzynka piwa. Od razu stały się dla mnie jasne dwie sprawy: że koleś handluje i że jest grubo. Nie uwierzę, że to na własne potrzeby, no chyba że ostro z Magdusią zapierdalają. Suma summarum, nie trudno zauważyć, że od kiedy się poznali, to Magda nie odpuściła żadnego weekendu - zawsze jakaś balanga. Wcześniej kujonka w okularach, dziś techno-maniaczka w białych rękawiczkach. Z tego, co wiem uczyła się prawa, znała na pamięć wszystkie paragrafy kodeksu karnego, cywilnego i kto wie jakiego jeszcze. Znała. Dziś zna wszystkich DJ-ów, tytuły ich nagrań, zna wszystkie dragi, wszystkie łóżkowe pozycje. Z moją dziewczyną - Agą - znają się od dziecka, więc "w tajemnicy" mówi jej wszystko.

Byliśmy jakieś trzydzieści kilometrów od celu. Kierowca zatrzymał się na stacji, żeby napić konie mechaniczne no i... zjeść, co trzeba było zjeść. Jednogłośnie uznaliśmy, że to najlepszy czas i dobre miejsce. Dojedziemy na biesiadę akurat jak wszystko się przegryzie, zacznie działać i wejdziemy już na wesoło. Dziewczyny zachowały się jak damy - z gracją połknęły po dwie pixy, popijając mineralną.

Przyszła kolej na nas. Jedzenie grzybków nigdy nie było dla mnie przyjemne; żując te małe trujaki często napinało mnie, zbierało na wymioty. Nie wiem dlaczego. Wcale nie były niesmaczne; smakowały, jak zwykle, surowe grzyby, jednak każda następna porcja tych małych skurwysynków wstrząsała moim

ciałem, podobnie jak wstrząsa kieliszek wódki.

No, ale jakoś to poszło. Zjedliśmy po pięćdziesiąt sztuk popijając piwkiem, po czym zarzuciliśmy po miętowej gumie do żucia i w drogę.

Te pierwsze trzydzieści minut jazdy na grzybach to istna gehenna. Biologia wykręca wnętrzności, chemia wygina umysł, tak że nawet drzewa przydrożne stają się zagadkowe, a niektóre nawet podejrzane. Nie jest do śmiechu, wcale nie jest. Przysięgam, że zastrzeliłbym wówczas tę chichoczącą z tyłu, nie wiedzieć z czego, Magdusię, gdybym miał pistolet. Woląłem jednak przeczekać, nie bić jej, nie krzyczeć. Jakby nie było, to zjadłem truciznę. Trzeba swoje wycierpieć i umrzeć, a potem zmartwychwstać i mieć święty spokój.

Dojeżdżaliśmy. Chodniki wokół zamku obstawiono autami wszelkiej maści, jakości i wielkości. Po ulicach już krzątał się kwiat młodzieży polskiej; księżniczki, błazny i pajace. Ktoś się odlewał pod murem, ktoś gwizdał, ktoś rozbijał butelkę na drodze. Magda śmiała się jeszcze głośniej. "Jej klimaty." Musiałem wyjść.

Rex zaparkował auto, wysiadł, zapytał, czy nie chcę zajarać. Powiedziałem, że chyba nie, czy coś w tym rodzaju, nie wiem, bo moją uwagę przykuły panienki stojące przy wejściu na dziedziniec. "Kurwa, czy im nie jest zimno?!" Ja ubrany kompletnie, a one prawie nagie w tych swoich letnich sukienkach, mini spódniczkach! "Widocznie przyzwyczajone do wystawiania tyłków na chłodzie."

A może to nie chłód, tylko grzyby trzęsły, albo adrenalinowy lęk na spotkanie z nieznanym? "Hmm?"

Wreszcie szanowne towarzystwo wygramoliło się z samochodu. Rexio z głupim uśmiechem przywitał mnie matrixowo: "Welcome to the real world". Zaraz! Czy "szanowne towarzystwo" nie wygramoliło się wcześniej? Rex nie proponował palenia wcześniej? Taa. Już porządnie się kielbaśiło.

Od tego miejsca nic nie jest pewne.

Za grubymi murami dudniły ciężkie basy, a na chmurach nad zamczyskiem tańczyły wielobarwne lasery. Ustawiliśmy się w kolejce do wejścia. Tłok. Dookoła subkultura bananowa; chłopcy samoopalacza, nastoletnie lolitki; wytapetowane, wycackane, pachnące i się pchające, byle szybciej do środka. Do porzygania w tej orgii dezodorantów.

A Madzia wciąż piała, niczym kura, to z tego, to z niewiadomego; to ze mnie, to ze swojego chłopaka. No, ale miała nieźle w czubie, więc jej wybaczalem. Poza tym wyglądała mmm... jak różowa landrynka, cytrynka, malinka, brzoskwinka...

Tak się na nią zagapiłem, że nawet nie zauważyłem, kiedy znaleźliśmy się w środku. Czy płaciłem za wstęp? Czy dostałem pieczętkę na ramię? Nic nie pamiętam! "Za wszystko serdecznie żałuję." Pewnie Aga wszystko załatwiła i gra muzyka.

- Nawet o tym nie myśl - powiedziała Aga.

- Aga, co ty... mówisz?

- Widziałam, jak na nią patrzysz.

Odwróciłem głowę w stronę Magdy.

- Miaaaa!... - Pokazując pazurki. Landrynka.

"No i zaczynają się przygody"

Dziewczyny, jakby nic się nie stało, chwyciły się za ręce i ruszyły do przodu, pod scenę.

- Wiesz, gdzie nas szukać, jakby co.

- Pod sceną, papa - dodała Magda.

Dobrze, że nie namawiały, żebym poszedł z nimi. Chyba by mnie te wielkie głośniki rozszarpały na strzępy, a na razie potrzebowałem czego innego. Potrzebowałem teraz chwili spokoju, odrobiny samotności. Musiałem trochę ochłoniąć, odnaleźć się jakoś, zaaklimatyzować w tej technosredniowiecznej rzeczywistości. Z daleka i tak widziałem dobrze, co się dzieje. DJ-e na scenie szaleli, przebrani za mnichów - w czarnych kapturach, obok nich dziewczyny w bikini i srebrnych płaszczach spacerujące z pochodniami. "Maj got!"

Cały dziedziniec skąpany w dymie, a w nim wszyscy ludzie. Podobno później mieli zasypać wszystko pianą. "Impreza na maksa. Ful wypas."

Stałem pod murem, by porozmyślać. Grzybki mają to do siebie, że otwierają w głowie nowe klapy i chce się myśleć. Nawet debil może wtedy odkryć teorie wszystkiego, antymaterii, pojąć czarne dziury, Tróję, czy inne pierdoły. Inna sprawa, że nie słyszałem dotąd, żeby jakiś grzybowy projekt sprawdził się w realu.

Nie zważając na to, postanowiłem się przyjrzeć, co piszczy w trawie. Jak się wkrótce okazało, ona nie tylko piszczy, a żyje pełną gębą. Dosłownie! Nie tak jak żyją rośliny, ale tak, jak żyją ryby na przykład. Jak mgławice zielonych rybek. Zbawicielek.

Podobnie żyją damskie włosy. One, jak sardynki unoszą się na falach muzyki i każda niby oddzielnie, niezależnie, i każda z nich łatwa do zdobycia, ale to tylko pozory. One potrafią wyczuć myśliwców-rekinów przez pewien zmysł zbiorowości, a kiedy już to robią, to w ułamku sekundy, ustawiają się w boczkiem, tworząc wspólnie wieloryba, dinozaura i podobne diabły. Nie trwa to długo, ale wystarczy, żeby zbić z tropu, a tymczasem sardynki machają ogonkami i mówią "do widzenia".

- Jaki masz rozmiar stopy? - Ktoś przerwał mi badania.
- Zajebiście.
- Masz na imię Zajebiście?
- Zajebiście.
- Zajebiście. - I zniknął w dymie trzęsąc głową rytmicznie.

Dymu było pełno. W jego wnętrzu, oprócz włosów i trawy, pływały różne światełka na kolory od a do zet. Każdy chciał się pokazać z najlepszej strony, każdy chciał być żywy i modny, ale żaden jakoś nie mógł się wybić ponad, bo wszystkie były wybite. Pełno było w tej mgłę cudowności, które zapraszały palcem do środka. Trudno było się nie pokusić, ale nie łatwo też wejść. Jak tylko dałem krok - motylek, serce, kółko, kropka... na koszuli, na spodniach, usta na rozporku. "Dżizas!" Nie poddawałem się mimo wszystko, brnąłem dalej, a chwilę później zrobiło się miło, przywykłem. Wszystko wokół się cieszyło, podskakiwało. Gdzieś zgrabna nóżka na zgrabnym buciku, tu uśmiech, tam cycki, ktoś puszcza pawia, ktoś się całuje, ktoś bije lufę...

Dym gęstniał do nieskończoności. Przesadzali już z nim zdecydowanie. Nie mogłem już nawet chodzić, nie mogłem dać kroku. Nogi grzęzły, jak w bagnie, co przymarza na gwiazdkę, jak się kradnie choinkę i wpadnie. Czułem śnieg po kolana, a nawet po jaja. Dreptałem jak bocian, wysoko unosząc nogi, a szło i tak gorzej i gorzej. Dymu coraz więcej!

Chwytałem się za kostki, wrywałem stopy z uwięzi, a śnieg sięgał mi teraz do nosa, potem do oczu, do czoła! To był już koniec. Zacząłem się modlić do Boga.

I zdarzył się cud:

- Co ty tu, kurwa, robisz?! - usłyszałem głos z góry.
- Pomóż, Boże.

Wielka dłoń zacisnęła się na moim karku i uniosła do góry, ponad chmury.
Zostałem uratowany.

- Żebyś cię więcej nie widział w tej pianie! Zrozumiano?! - zapytał łysy bóg.
- Amen - odrzekłem.

Zjawiły się anioły.

- Gdzie jest Rex? - zapytał różowy.
- Jak jest!? - zapytał Anioł Śmierci.
- Hmm.

Rozbłysnęły wszystkie lampy całą mocą, wybuchnęły sztuczne ognie.

"Przywitajcie gwiazdę wieczoru! Uwaga, uwaga kochani! COOOOSMIC GATEEEEE!!!"

Nie! Jak dla mnie to aż za pięknie. Popłakałem się ze szczęścia. Wyszedłem.

Już na zewnątrz wziąłem głęboki oddech i otarłem policzki. Po chwili poczułem, że chce mi się lać. Zaszedłem więc za róg i...spierdoliłem się kilka metrów ze skarpy. Małe niedopatrzenie. Wdrapałem się z powrotem i... usłyszałem coś. "Płacz?"

Pomyślałem, że jakaś skrzywdzona panienka beczy, bo fagas ją zostawił, czy coś podobnego. "Na pewno." Nigdzie jednak nie mogłem jej dojrzeć. Było ciemno, jak w wagonie murzyńskich dup. Spojrzałem do góry, bo zdawało się, że tam... "O w mordę!"
Stała jakieś piętnaście metrów nade mną, na murze! Dziewczyna w białej sukni.

- Złaż stamtąd idiotko!

Przestała płakać natychmiast, ale i muzyka nagle przestała grać, więc może ogłuchłem. Spojrzała na mnie, prosto w oczy, krzyknęła i... skoczyła. Skuliłem się odruchowo, żeby tego nie widzieć. Usłyszałem głucho uderzenie i chrupnięcie kości.

Otworzyłem oczy po chwili. Dziewczyna właśnie turlała się ze skarpy w krzaki i tam zatrzymała na amen. Ja zupełnie zdębiałem. Dłuższą chwilę stałem sparaliżowany i gapiłem się na białą plamę w zaroślach.

Zebrało mi się na wymioty, ale nie było na to czasu. Wziąłem się w garść i ruszyłem w stronę wejścia, do łysego ochroniarza, który już raz mi pomógł. W połowie drogi do celu zatrzymał mnie głos Agnieszki:

- Halo, halo, królewiczu. - Siedziała na niskim murku po lewej stronie. Obok niej Rex z Magdą na kolanach.
- Halo, halo, kurwa! Rex wstawaj! Wypadek był.

Znowu grała muzyka. Nie wiem, jaki debil wcisnął play.

- O czym ty gadasz? - powiedział spokojnie. - Gdzie?
- Panna młoda skoczyła z wieży zamkowej. Z tamtej. Trzeba karetkę... Policję... Wszystko. Lecę do ochrony!
- Przestań pierdolić, chłopie. Filmy tu wkręcasz.

- Sam pierdolisz. Mówię, że skoczyła, to skoczyła! Kurwa, rusz się, bo nie wiem...

A oni ciągle siedzieli tak, jak siedzieli. Jakby nigdy nic. Znieczulica!

- Chodź ci ją pokażę, ośle.

W końcu wstał. Pobiegłem za róg, niedowiarek za mną.

- Uważaj, bo spadniesz - ostrzegłem. - Stromo...

- No i? To tu? - zapytał.

- Patrz, tam na dół. Tam zleciała. - Pokazałem palcem.

- Nic tam nie widzę - stwierdził po chwili.

- No... ja też nie - przyznałem. - Ale musi tam być. Może... niżej spadła. - Pomyślałem. - Chodź.

- Jak jej tam nie będzie, to masz w ryj - poinformowałem. - Przysięgam.

Zeszliśmy, a właściwie ześlizgnęliśmy się, świniąc sobie buty, spodnie i ręce.

- I co? - Rex oświetlał krzaki zapalniczką. - Nic.

Światelko zgasło, a potem łup i błysk - kolega dotrzymał obietnicy. Skubaniec, trafił prosto w nos!

Wstałem po jakimś czasie. Napastnika już nie było, ale... nie byłem sam! O nie.

Po mojej prawej stronie, stała ona! Biała, jak śnieg, aż fosforyzująca. Całkiem blisko, na wyciągnięcie ręki teoretycznie, bo praktycznie nie wyciągnąłbym do niej ręki nawet za tysiąc złotych. Mogłaby obgryźć ze skóry i poprosić o drugą! Nie sposób opisać, jak się bałem. Chyba zsikałbym się w spodnie, gdybym nie sikał chwilę wcześniej. Bałem się nawet na nią patrzeć prosto, twarzą w twarz. Łypałem tylko kątem oka. Nie było nawet mowy o krzyczeniu, czy innym alarmie. Strach ruszyć okiem, palcem, rzesą, a co dopiero szczęką. "Chryste ratuj!"

I w tym momencie stało się coś przedziwnego. Panna młoda poruszyła się, zawirowała w miejscu i wystrzeliła w górę, jak rakietka. Pozostawiła po sobie jedynie łagodny podmuch wiatru i ślad ślimaczego śluzu w kształcie zakręconego makaronu. Świderek wisiał sobie, najzwyczajniej w świecie, w powietrzu z początkiem metr nad ziemią, a końcem na chmurce ponad zamkiem. Tam też kończyły się inne lasery.

Naśliniłem palec wskazujący, zmasałem plamkę z chmury. Resztę znad krzaka starłem wnętrzem dłoni i nikomu już o tym nie mówiłem.

Aż do dziś.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

valdens, dodano 26.06.2008 12:23

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.